

Karol Móravski

Wojenna solidarność – pokłosie września 1939 roku

Niepodległość i Pamięć 16/2 (30), 303-309

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Karol Móravski

Wojenna solidarność – pokłosie września 1939 roku

Truizmem byłoby stwierdzenie, iż upływ czasu ogranicza pamięć, zaciera wspomnienia i tuszuje smutne, a częstokroć i dramatyczne przeżycia naszego bytu. Tak jednak było, jest i będzie. Pamięć ludzka ma zupełnie niewiarygodną zdolność segregacji przeżyć, ich ważności i znaczenia dla chwili bieżącej i odsuwania w mrok zapomnienia rzeczy i spraw jakby się wydawało drugorzędnych lub niewartych trwałej konotacji. I dobrze, że tak jest skonstruowana ludzka psychika, ponieważ żywa i emocjonalnie wciąż aktywna pamięć byłaby dramatem dla każdej ludzkiej istoty. A tak, wraz z biegiem dni, miesięcy czy lat całych nowe wydarzenia, zjawiska i przeżycia odsuwają na plan dalszy te już minione, które z wolna pokrywać zaczyna welon zapomnienia i nieubłagany zda się kurz przemijającego czasu. A przecież wszystkie wydarzenia czy przeżycia mają w skali każdego człowieka swój niezbywalny ciężar gatunkowy wart zapamiętania, a często i odnotowania na kartach relacji, wspomnień czy zapisków kronikarskich z codziennego raptularza pamięci. Nie oszukujmy się. Przeżycia każdego z nas, w określonych warunkach mają wielkie znaczenie dokumentacyjne, wypełniające po latach te jakże często przez badaczy napotykanne białe plamy, dotyczące faktów i wydarzeń zda się oczywistych, a przecież nie mających odniesienia w źródłach pisanych czy choćby w tradycji ustnej, czy jak chcą inni w historii opowiedzianej. Nie ma co ukrywać, a może warto to podkreślić, że życie każdego człowieka, tego przysłowiowego już szarego obywatela, stanowi niezwykle źródło historyczne związane z historią jego rodziny, miejscem bytowania, osady, miasta, kraju, ba, świata prawie całego. Rodzi się jednak pytanie, gdzie są ci, którzy czują potrzebę, lub też zdają sobie sprawę z wartości dokumentowania swych przeżyć, doznań czy wrażeń określających, może nawet nie zawsze barwnie ale za to rzeczowo, świat w którym przyszło im żyć.

W potocznym biegu codziennego bytowania nie zawsze więc zdajemy sobie sprawę z wartości tego rodzaju tradycji historycznej. Aktualne zajęcia, praca zawodowa, troski i radości dnia bieżącego absorbują tak dalece, że nie zdajemy sobie często sprawy z upływu czasu, który niejednokrotnie jeszcze popędzamy. Na bieżąco przecież wszystko pamiętamy, poznajemy wizerunki osób i miejsc na fotografiach, a jeśli nawet nie, to przecież możemy się odwołać do pamięci kogoś z rodziny, może starszego, a może lepiej wprowadzonego w arkana tradycji rodzinnej. Ale nadchodzi czas, tak jak chce biologia, kiedy zaczyna brakować tych najbliższych, do pamięci i wiedzy których można by się odwołać w chwilach wątpliwości w zakresie przecież tak ma-

lym, a jednocześnie tak bliskim jakim są dzieje własnej rodziny. I wtedy pozostają niedopowiedziane fakty, puste swym nierozszyfrowanym wizerunkiem fotografie, białe plamy w najbliższych nam sprawach. Nie mamy już kogo więcej zapytać i skazani jesteśmy wyłącznie na własną pamięć. I wtedy często okazuje się, że pamiętamy bardzo dużo, a zarazem strasznie mało.

Minione już stulecie było w dziejach Europy, ale szczególnie w historii naszego narodu, wyjątkowo dramatycznie zapisanymi kartami. Trauma drugiej wojny światowej na przynajmniej kilka pokoleń utrwaliła w psychice dramat przeżyć, wspomnień i bolesnych konsekwencji życiowych z jej rezultatów wynikających. Dla pokolenia moich Rodziców było to na przestrzeni niepełnego półwiecza, trzecie już po wydarzeniach rewolucji 1905 roku i lat pierwszej wojny światowej doświadczenie kataklizmu wojennego. Trzecie ale i najtragiczniejsze, i najbardziej dramatyczne. Żadne z poprzednich nie dało w warunkach lat 1939-1945, analogii czy praktycznych doświadczeń. Bo też i cel tej wojny był zupełnie inny, nie mogący się mieścić w zwyczajnym pojmowaniu nawet konfliktów zbrojnych. Kampania Wrześniowa, okupacja i powstanie 1944 roku pozostawiły w świadomości moich bliskich, a i mnie samego także, niezatarty ślad i wyjątkową zupełnie cezurę życiową – do i od powstania warszawskiego 1944 roku. Cezurę trwałą i niezmywalną już do końca życia, tragiczne wiano pokolenia moich dziadków, moich rodziców i mojego.

A przecież często były to dni nie tylko godne, ale niemal nakazujące utrwalenie w powszechnej pamięci dramaty przeciętnego człowieka przekraczające kanony zwyczajnego pojmowania świata, a częstokroć wykraczające poza przyjęte przez stulecia normy humanitarnej cywilizacji i współżycia człowieka.

Zakończenie działań wojennych w końcu września 1939 roku na obszarze Warszawy wtłoczyło jej mieszkańców w tryby okupacyjnego sposobu życia. Ograniczeń politycznych, kulturalnych, bytowych, godziny policyjnej, dyskryminacji narodowej i rasowej, znanej dotąd z lektur *Chaty wuja Toma*, *Przeminęło z wiatrem* i innych. Teraz doznaliśmy tego na własnej skórze. Teraz dowiedzieliśmy się, że mamy nad sobą „Panów”, surowych i precyzyjnych w egzekwowaniu swoich zarządzeń i postanowień. Znow, jak po latach zaboru rosyjskiego na sztydach ulicznych na pierwszym miejscu pojawiły się teksty niemieckie, a potem dopiero polskie. Byliśmy przecież niewolnikami. W połowie XX wieku, w sercu zdawałoby się ucywilizowanej i kulturalnej Europy.

Ale cóż, Polacy nie mogli się, nawet z czysto biologicznego punktu widzenia, obrazić na okupanta i czekać z założonymi rękami. Na co? Na kogo? Przecież nie na tych którzy obiecali nam sojuszniczą pomoc w dniach bezprzykładnej walki, a ograniczyli się do zrzucania ulotek na terytorium III Rzeszy. Tak, trzeba było wbrew wszystkiemu i na przekór wszystkiemu i wszystkim żyć i dać żyć innym. Dla zapewnienia egzystencji najbliższym trzeba było pracować, a dla psychicznej higieny trzeba było kształtować choćby minimum normalnej, choć może nieraz na niby, quasi ludzkiej egzystencji. Takiego życia na niby, ale jednak życia. Stąd też ludzie kochali się, rodzili dzieci, starali się dać im wykształcenie i codzienną ogładę w warunkach eskalującego się z każdym dniem terroru, ulicznych łapanek i egzekucji, obozów koncentracyjnych i niewyobrażalnych zbrodni ludobójstwa.

Po zakończeniu działań wojennych w Warszawie, na apel prezydenta Starzyńskiego, a przecież i z własnej potrzeby, przystąpili mieszkańcy stolicy do mozolnego przywracania miasta do życia. Należało udrożnić szlaki komunikacyjne, zabezpieczyć grożące zawaleniem budynki, uruchomić elektrownię, gazownię, wodociągi – jednym słowem te wszystkie media, które zapewniały normalne funkcjonowanie kompleksu

miejskiego. Należało ekshumować tysiące zabitych i zmarłych pogrzebanych tymczasowo na placach, trawnikach i skwerach. Trzeba było podjąć niełatwe zadanie zaopatrzenia miasta w artykuły żywnościowe, higieniczne i sanitarne. Na pomoc czekały rzesze bezdomnych, pogorzalców i tysiące napływających do Warszawy wysiedleńców z przyłączonych do Rzeszy – Wielkopolski, Pomorza czy Śląska. Zadanie niełatwe w warunkach kataklizmu związanego z działaniem sił przyrody, a o ileż trudniejsze w warunkach wojennych w zniszczonym mieście i pod nadzorem okupanta. To były działania obliczone na całe miesiące jeśli nie lata zgoła, tym bardziej że i chłodna jesień przysła owego roku wcześniej niż zwykle, poprzedzając mroźną, ostrą i śnieżną zimą.

Sam doskonale pamiętam, mimo iż miałem wówczas zaledwie 4 lata, powrót do mieszkania z solidnego schronu w fabryce „Konrad, Jarnuszkiewicz i Ska” przy ul. Grzybowskiej 25, do którego ojciec przeniósł całą naszą rodzinę na trzy tygodnie oblężenia Warszawy. Wypielęgowane przez rodziców mieszkanie wiało chłodem włączanym przez pozbawione szyb okna. Na podłogach i meblach rozpościła się dywan ceglano-wapiennego pyłu, a w futrynach, ramach okiennych okiennych i w ścianach pokoi tkwiły odłamki szrapneli artyleryjskich uzupełnione śladami po kulach. Codzienne braki w zaopatrzeniu, ogromny wysiłek rodziców w zdobywaniu podstawowych artykułów, początkowe wieczory przy świecach i przywróconych do łask lampach naftowych, wymienionych z biegiem czasu na gwizdzące karbidówki. Dni upływające w mrocznych pokojach, w których 3/4 powierzchni okien przysłoniętych było dyktą w miejsce wybitych szyb i reżim godziny policyjnej, konieczności pozbycia się radia, zamkniętych szkół, wymiany pieniędzy czy wprowadzenia kartek zaopatrzenia na gliniasty chleb i stałe „odrastającą” w słoiku margarynę z buraków i Bóg wie jeszcze z czego.

Chcę tu dziś przypomnieć pewne wydarzenia z pierwszych dni okupacji, które mimo dzieciństwa w tamtych latach znakomicie zapamiętałem, a wzmianek o których nie spotkałem dotąd ani w literaturze przedmiotu, ani nawet we wspomnieniach czy beletrystyce czasu wojny. I choć z globalnego punktu widzenia wydarzeń wojennych może w potocznej świadomości odgrywać one niewielką rolę, to gwoli kronikarskiego obowiązku wydaje mi się, że warto tu je przytoczyć.

Dokładnego czasu już dziś nie pomnę, a i zapytać się kogoś z bliskich starszych wiekiem nie mam możliwości, ale myślę, że było to już dobrze u schyłku pamiętnej jesieni 1939 roku, kiedy pocztą pantoflową rozeszła się po Powiślu, gdzie mieszkaliśmy, wiadomość o akcji swoistego „adoptowania” rannych w kampanii wrześniowej żołnierzy Wojska Polskiego, których kilka tysięcy przebywało w szpitalach warszawskich. Chodziło tu zresztą głównie o tych, którzy wywodząc się z Pomorza, Śląska, Wielkopolski czy zza kordonu sowieckiej linii demarkacyjnej nie mieli żadnego kontaktu z rodzinami. Patronat, którym warszawiacy mieli objąć tych właśnie żołnierzy miał podtrzymać psychicznie rannych, dla których brak wiadomości o losach rodziny i bliskich był dodatkowym stresem nie ułatwiającym, trudnej czasem wobec ciężaru gatunkowego ran, okresu rekonwalescencji. Dla mieszkańców Powiśla najbliższymi punktami gdzie można było spełnić rolę swego rodzaju zastępczej rodziny był szpital wojskowy w Centrum Wyszkozenia Sanitarnego na Ujazdowie oraz Szpital Główny PCK pod skarpą wiślaną na ulicy Czerwonego Krzyża. Moi rodzice wybrali właśnie ten, położony zresztą o krok niemal od naszego miejsca zamieszkania.

Sam szpital, położony u podnóża skarpy wiślanej, tuż obok słynnego Instytutu Oftalmicznego, między nasypem kolejowej linii średnicowej od południa i ogrodami sióstr szarytek od północy, miał dwa adresy. Pierwszy to ulica Smolna 10, na krawędzi wysoczyzny skarpy, skąd dość spadziste schody prowadziły na obszerny zdrze-

wiony teren oraz drugi już poniżej skarpy – Czerwonego Krzyża 7, gdzie znajdowało się główne wejście na teren obiektu. Stąd brała się zresztą i nazwa ulicy, która ongi brała swój początek w Alei 3-go Maja przy wiadukcie mostu Poniatowskiego, by zakręciwszy pod kątem prostym dotrzeć aż do Wybrzeża Kościuszkowskiego. Po II wojnie, kiedy część ulicy między Wybrzeżem Kościuszkowskim a Dobrą zyskała miano Stefana Jaracza, na cześć założyciela Teatru Ateneum, nazwa Czerwonego Krzyża zachowana została tylko dla odcinka między Solcem a Aleją 3-Maja. Z chwilą wytyczenia i poprowadzenia ul. L. Kruczkowskiego od Książęcej aż do Tamki, ulica Czerwonego Krzyża ograniczona została tylko do odcinka między Solcem a Kruczkowskiego z koniecznością odwrócenia numeracji o 180 stopni.

Sam szpital, ukształtowany jeszcze przed I wojną światową, stanowił zakład społeczny Rosyjskiego Szpitala Czerwonego Krzyża, jako tzw. Barak, z aktem notarialnym spisany w imieniu cara Aleksandra II. I rzeczywiście była to niewielka budowla, istotnie o charakterze baraku, za to doskonale jak na owe czasy wyposażona, nie związana administracyjnie z warszawską służbą zdrowia, w której personelem byli wyłącznie Rosjanie. Tuż po wyjściu Rosjan z Warszawy, w dniach I wojny światowej, szpital przejęty został przez Polski Komitet Pomocy Sanitarnej – swego rodzaju namiastkę Towarzystwa Polskiego Czerwonego Krzyża, na którego założenie władze carskie aż do końca swego panowania nie chciały wydać zgody. Pod koniec 1916 roku ze szpitala korzystali żołnierze Legionów Polskich, których część stacjonowała wówczas w Warszawie. W toku wojny bolszewickiej lat 1920-1921 placówka pełniła funkcję szpitala przyfrontowego, po czym rozkazem Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego przekazana została w ręce Polskiego Czerwonego Krzyża, w którego gestii pozostawała aż do dnia powstania 1944, kiedy to w czasie działań zbrojnych szpital został w znacznej części zniszczony, a po wojnie już nie tylko nie odbudowany ale i nieodtworzony na innym miejscu. Warto może dodać, że niedaleko, bo przy ul. Smolnej 17 mieścił się wówczas Zarząd Główny PCK, Zarząd Okręgu Warszawskiego oraz Biuro Informacyjne. Wówczas też zorganizowano tu szkołę pielęgniarską z internatem oraz pełne zaplecze gospodarcze.

W latach dwudziestolecia międzywojennego został przez PCK rozbudowany według projektu architekta Józefa Szanajcy, zyskując kilka pawilonów oraz imponujący gmach administracji przy ul. Czerwonego Krzyża. Szpital mieścił 175 łóżek i prowadził oddziały chorób wewnętrznych, chirurgiczny, ginekologiczny, ortopedyczno-urazowy oraz lecznicę. Nad całością jako dyrektor pieczę sprawował płk Bolesław Szarecki – późniejszy profesor i generał. W tamtym czasie szpital słynął z wysokiego poziomu sztuki medycznej i wyjątkowej troskliwości o pacjentów.

W połowie września 1939 r. bombardowany przez lotnictwo niemieckie musiał ewakuować część pacjentów do budynku gimnazjum M. Reja przy Królewskiej i podziemi kościoła Wszystkich Świętych przy pl. Grzybowskiem. Po zakończeniu działań wojennych i po likwidacji części szkód z oblężenia, w latach 1939-1941 gościł żołnierzy rannych w toku walk Kampanii Wrześniowej.

I to właśnie z tymi żołnierzami moja rodzina nawiązała kontakt u schyłku jesieni 1939 roku. Wybrany losowo ranny żołnierz, nie pamiętam rangi ale chyba szeregowiec, był odtąd naszym podopiecznym. W niemal każdą niedzielę, albo sami rodzice, albo moje siostry, albo wszyscy razem odwiedzaliśmy Szpital PCK i naszego przybranego krewnego. Ojciec mój gromadził papierosy, mama piekła ciasto bądź szykowała jakieś danie ze zdobytego po wielu staraniach mięsa, siostry nosły książki lub jakieś upominki. Wizyta w pokoju u naszego podopiecznego była w swej istocie spotkaniem

ze wszystkimi mieszkańcami 6-7 osobowej sali szpitalnej. Wszyscy, niezależnie od miejsca zamieszkania ciekawi byli nowinek, wieści ze świata i wrażeń życia pod okupacją. A przede wszystkim pociechy i łąta nadziei na ewentualne zmiany. Nie byliśmy jedynymi odwiedzającymi, a byliśmy ciepło i życzliwie witani przez rannych. Moje trzy siostry liczące sobie wówczas od 11 do 19 lat były obiektem zainteresowań młodych bohaterów, a nawiązane wówczas kontakty w jednym z wypadków, rannego pana Janusza Skwarskiego z Warszawy, przetrwały okupację i kilka lat powojennych. Ot, wojna wojną, a młodość jest zawsze młodością i przeżywa się ją tylko raz w życiu. Szczególnie wiosną, latem i jesienią już 1940 roku spotkania niedzielne przenosiły się na obszerny teren szpitalny porośnięty pięknym starodrzewem. Z tego też czasu zachowały się dwie fotografie, cudem chyba ocalałe z powstania 1944 roku, nie wiem czy wyniesione w tobołkach z Warszawy w toku wysiedlenia, czy też odnalezione w piwnicy budynku już po powrocie w styczniu 1945 roku.

Sam szpital w czwartym dniu powstania 1944 roku został dosłownie rozstrzelany ogniem broni maszynowej i czołgów z wiaduktu mostu Poniatowskiego i artylerii pociągu pancernego kursującego torami linii średnicowej. Spłonęły pawilony nr 1, 2, 6 i 7. Reszta doznała znacznych uszkodzeń. Pacjenci i personel ewakuowani zostali, po dramatycznych przejściach z oddziałem SS, na teren Zakładu Sióstr Szarytek przy ul. Tamka, a potem od 8 sierpnia do budynków przy ul. Kopernika 11, 13, a od 4 września do gmachu obecnego Domu Dziennikarza przy ul. Foksal 3/5 (tablica pamiątkowa na pylonie bramy), gdzie relikw szpitala przetrwał aż do kapitulacji powstania. Z powstania ocalał mało uszkodzony trzypiętrowy budynek główny, rozebrany przy okazji budowy torów kolei dalekobieżnej linii średnicowej oraz zachowany do dziś budynek interny, tuż pod skarpą, mieszczący obecnie Klub Bankowca. Resztki pawilonów rozebrano, a obszerny teren zamieniono na skwer przechodni z ul. Kruczkowskiego na Smolną, odwiedzany przez matki z małymi dziećmi i mieszkających w pobliżu emerytów. Szkoda tylko, że nikt nie ufundował pamiątkowej tablicy, gdyż dziś tylko ułożony z czerwonej cegły równoramienny krzyż w tympanonie budynku Klubu Bankowca może przypomnieć osobie bywałej bądź wnikliwemu warsawianinowi powstanie tej dziś już oryginalnej architektury szpitalnej z końca XIX i początków XX stulecia.

I wreszcie drugie wydarzenie, o którym wcześniej już wspominałem, też wynikające z solidarnej inicjatywy społecznej, niezwykle żywej i aktywnej w trudnych losowo chwilach życia narodu. Też chyba zimą 1939/1940 roku, i także pocztą pantoflową rozeszła się w Warszawie wiadomość, że w obozach jenieckich – stalagach i oflagach, znajdują się żołnierze i oficerowie pochodzący z Kresów Wschodnich, a więc odcięci zupełnie od łączności ze swymi bliskimi za kordonem sowieckiej linii demarkacyjnej. I tu podobnie jak w wypadku opieki nad rannymi w szpitalach warszawskich można było zgłosić swój akces do nawiązania kontaktu z takimi jeńcami. Nie wiem dokładnie, bo przecież z racji wieku nie byłem wprowadzany w tryb realizacji tego pomysłu, ale doskonale pamiętam, że i nasza rodzina nawiązała kontakt z jednym z jeńców. Dziś już nie pamiętam ani nazwy obozu ale zapamiętałem nazwisko naszego podopiecznego – pan Halecki, chyba w stopniu kapitana. Przez dwa lub trzy lata, a więc do ataku Niemiec na Związek Sowiecki, ten kontakt był bardzo żywy i trwały. Potem odnalazła się chyba rodzina pana Haleckiego i łączność w dotychczasowym zakresie się urwała. Przez te kilka jednak lat, raz na miesiąc lub też raz na kwartał, w skrzynce pocztowej znajdowały się listy z oflagu na specjalnych blankietach zwrotnych, z wyznaczonymi na kredowym papierze blankietu liniami przeznaczonymi w określonym ściśle zakresie do korespondencji i tytułowym hasłem „Kriegsgefangenenpost” oraz

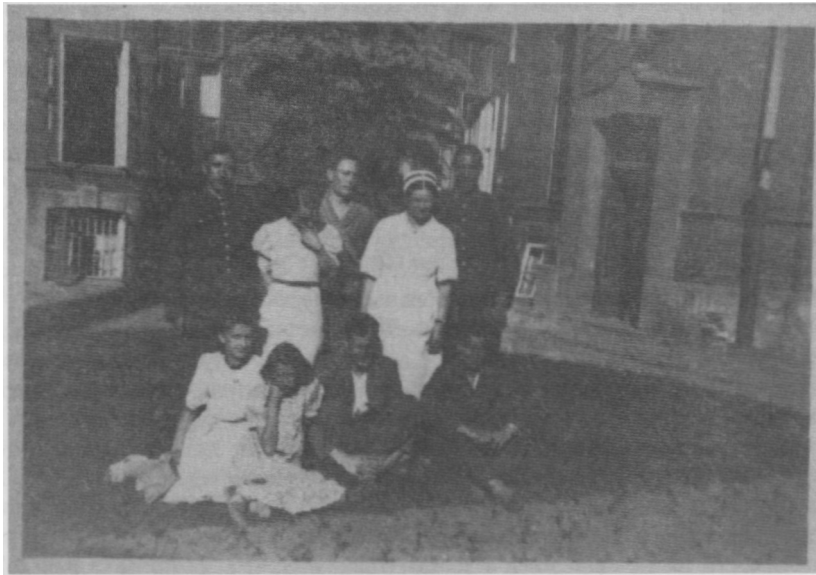
stemplami cenzury. Już też dziś nie pamiętam czy raz na dwa miesiące, czy też raz na kwartał do blankietów dołączany był kwit na przesłanie jeńcowi paczki, znowu z określoną ściśle wagą i zawartością. Pamiętam jak dziś, jak po nadejściu takiego zezwolenia mama moja smażyła z trudem zdobytą na czarnym rynku słoninę i boczek na smalec, pieczętowała pakowała główki cebuli i czosnku, czasem odrobinę cukru lub sacharynę, a przed świętami Bożego Narodzenia ułamek opłatka. To były niezwykłe chwile dla nas wszystkich. Określone precyzyjnie przez regulamin obozowy normy, waga, ilości i kategorie przedmiotów, a także ich rodzajów zmuszały do wyjątkowej ekwilibrystyki. Musiała przesyłka zawierać rzeczy dozwolone, nie narażone na zepsucie z biegiem czasu i praktyczne. To z kolei co byłoby bardzo przydatne nie zawsze było dostępne na rynku, a jednocześnie nie zawsze dozwolone do wysłania. Oprócz ograniczonej z natury rzeczy żywności, mogły to być skarpety, szalik czy rękawiczki z ubrań, podstawowe kosmetyki czy np. przybory do pisania – jak choćby jedynie dozwolony ołówek kopiowy. To było tylko tyle, ale w tamtej sytuacji aż tyle, jak dowiedzieliśmy się z powojennej relacji znajomego rodziców, niejakiego pana Polewskiego, który nie tylko przebywał w tym samym oflagu, ale nawet w tym samym baraku. Nasze listy i paczki były zachętą do przetrwania, ufnością w ludzką solidarność nawet przez druty i posterunki wroga. A dla nas było to jakąś namiastką okazania wdzięczności za trudy wojenne, elementem współczucia i serdecznej więzi z Rodakami w obozach.

Ta zresztą akcja nie była związana li tylko z Warszawą. Z różnych spotkań i przypadkowych nieraz rozmów na ten temat dowiedziałem się, że również w innych miastach tzw. Generalnej Gubernii funkcjonowała akcja aktywnego kontaktowania się z żołnierzami września zamkniętymi w obozach jenieckich. Więzi wówczas nawiązane były dla jeńców skromną namiastką łączności z quasi rodziną, zastępującą tę naturalną, podnosząc w pewnym sensie ich stan psychiczny na tyle na ile to było możliwe, a z drugiej strony dla opiekunów z wyboru obywatelskim i patriotycznym gestem wdzięczności dla walczących, których w trudnych chwilach wojennego bytowania należało wspomagać moralnie. W wielu wypadkach zadzierzgnięte wówczas kontakty przetrwały próbę czasu wojny i zaowocowały przyjaźniami wykraczającymi poza zdawkowe kanony znajomości. Słyszałem nawet o wypadku gdy kontakt między jeńcem a korespondentką wspomagającą zaowocował szczęśliwym związkiem małżeńskim po zakończeniu wojny i wyjściu z obozu jenieckiego.

Wspominając te dwa epizody z lat wojny i okupacji realizowałem w pewnym sensie poczucie obowiązku wobec przeszłości ale przede wszystkim wobec tych, którzy byli inicjatorami i realizatorami tych szlachetnych przedsięwzięć, wobec ludzi, których już nie ma, aby znaczące przecież dzieło ich życia nie utonęło w powszechnej niepamięci. Tym bardziej, że przyświecała mi smutna w istocie sugestia, że świat i wydarzenia, w których braliśmy udział i które jeszcze pamiętamy, zależne są już dziś tylko od naszej pamięci. Na niej to więc, niezależnie od związanej z upływem czasu ułomności oba te wątki są oparte i jeśli ich dziś jeszcze nie zanotujemy – odejdą wraz z nami na zawsze.



Niedzielne spotkanie z rannymi żołnierzami Szpitala PCK. Stoją w drugim rzędzie pierwszy od lewej: p. Janusz Skwarski, druga w białej sukience siostra autora Maria Mórawska. W pierwszym rzędzie pierwsza z prawej siostra autora Leokadia Mórawska. Rok 1939 lub 1940. Fot. wykonała Alicja Mórawska



Niedzielne spotkanie z rannymi żołnierzami WP na dziedzińcu Szpitala PCK. Siedzą od lewej: siostry autora Alicja i Maria Mórawskie, trzeci z lewej p. Janusz Skwarski. Rok 1939 lub 1940. Fot. wykonała Leokadia Mórawska. (Prawa reprodukcji zastrzeżone – Karol Mórawski, Warszawa, Al. 3 Maja 2 m. 176)